Kraków, 14-go Marca 1908 r.

Rok 4. Nr. 6.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 11 „Prawdy."

JAN Z KOLNA.

Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Cztery lata minęły od powyżej opisanej rozmowy. Janek wyrósł na dorastającego chłopca, zmężniał, i ojciec począł go naglić, aby obrał sobie jaki sposób do życia; został rzemieślnikiem, kupcem lub rolnikiem. Lecz chłopiec nie mógł się zdecydować i z dnia na dzień odwlekał ostateczną odpowiedź. Od rana do wieczora siedział tylko nad książkami, czytał, szperał i uczył się bez wytchnienia, a kiedy ojciec pytał go, czy już powziął jakie postanowienie, odpowiadał zwykle:

— Jeszcze nie, ojcze. Wybrać sobie zawód na całe życie to nie tak łatwo, a nieraz sam mi powiadałeś, że trzeba się nad tem dobrze zastanowić.

— Tak, w samej rzeczy, mówiłem; lecz dzień za dniem schodzi, a ty ciągle zwłóczysz. Czas już mój chłopcze, żebyś doma darmo nie jadł chleba, a począł na siebie pracować. Jest was kilkoro, a ja, choć nie ubogi, przecież ciężko pracuję, żeby was wyżywić i okryć. Należałoby nieco ojcu ulżyć, mój synu.

Janek westchnął ciężko.

— Dziś jeszczebym zaczął pracować na siebie, gdyby ojciec dał zezwolenie swoje... — rzekł nieśmiało: — gdyby mi pozwolił uczyć się sztuki żeglarskiej....

Ojciec brwi zmarszczył.

— Nie gniewajcie się panie ojcze, na mnie — zawołał chłopiec, składając błagalnie ręce. — Oddawna ja się z tem biedzę i morduję, żeby wybić z głowy tę chętkę do morza. Więc przestałem tratwy budować, i jezioro omijałem zdaleka. I cóż, kiedy ciągle mi ta żeglarka w głowie! Chociaż w nocy zasnę, to mi się śni, że płynę gdzieś po morzu, że widzę jakieś nieznane kraje. Już sobie i rady dać nie mogę. Com ja się nie namodlił, nie nasuszył na tę intencyę, żeby mi Pan Bóg odebrał tę chętkę do pływania po morzu: nic nie pomaga... I jeżeli, panie ojcze, nie dozwolicie na to, to już nie wiem co się ze mną stanie.

To powiedziawszy, Janek ze łzami zaczął ściskać nogi ojca.

Stary podniósł go i przyciągnął ku sobie.

— Moje dziecko. — rzekł głosem wzruszonym — sam chcesz iść na zgubę. Nie chcę ci przeszkadzać... niech się dzieje wola Boża! Ale ręki do tego nie przyłożę, bo nie chcę mieć na sumieniu twojego życia. Morze niepewne; słaba deska przedziela człowieka od śmierci. Radźże sobie jak umiesz, wyzwij Pana Boga na pomoc, a ja z mej strony będę się modlił za ciebie i prosił Stwórcy, ażeby cię miał w przenajświętszej opiece. Niechże cię Bóg błogosławi, mój synu!

Janek, łkając rzewnie, przyjął błogosławieństwo ojcowskie.

Na tem zakończyła się rozmowa.

Nazajutrz Janek powrócił do swych zajęć, a o obraniu zawodu dla chłopca nie wspomniano już ani tego dnia, ani wielu następnych. Rodzice wyraźnie unikali rozmowy z synem, tylko szeptali pomiędzy sobą:

— Nie wspominajmy ani słówka, może mu jeszcze odejdzie chęć zgubna.

Sądzili, iż chłopiec, nie mając znikąd pomocy, zmieni swoje postanowienie i wybije sobie z głowy dziwne zachcianki. Widzieli oboje, iż od ostatniej rozmowy z ojcem Janek smutnym był i po kątach płakiwał, a często ni stąd ni zowąd, to przypadał do matki i ściskał ją za kolana, to siostrzyczkę ucałował bez powodu, ojcu na wyskok posłu-

giwał, a chęci jego uprzedzał, więc sobie z tego dobrze wróżyli.

— Spokorniał jakoś, — mówił ojciec do matki — to dobry znak. Widać żałuje, że się wyrwał z takim niemądrym zamysłem, tylko nie śmie się przyznać do tego, bo mu wstyd.

Nie należy się dziwić, że rodzice Janka taką mieli niechęć do synowego zamysłu. Wprawdzie na Zachodzie Portugalczykowie w owych czasach puszczali się na dalekie morza i odkryli nowe nieznane wyspy i wybrzeża afrykańskie, ale żegluga nie była wydoskonaloną, okręty licho zbudowane. Mianowicie też Polacy bardzo mało co o żegludze wiedzieli i dopiero teraz, po przyłączeniu do Polski Prus Zachodnich, zaczynali przez Gdańszczan zapoznawać się z morzem.

Rozpowiadano też rozmaite baśnie o morzach: miały w nich przebywać straszne poczwary, według kłamliwych opowiadań, w okolicach podrównikowych takie panowały upały, że okręty same zapalały się od żaru słonecznego.

Cóż więc dziwnego, że rodzice Jana, niewiele oświeceni i łatwowierni, drżeli na samą myśl żeglugi i starali się odwieść go od puszczenia się na morze. Powoli jednak, jak mówiliśmy, obawy ich poczęły się uspokajać, i nabierali nadziei, że syn już zapomniał o swoim zamyśle.

Jednego poranka cała rodzina, według zwyczaju zebrała się w izbie, i odmówiwszy pacierze poranne, zasiadła do śniadania. Z wielkiem jednakże wszystkich zdziwieniem, Jan się nie stawił; on, który zawsze był pierwszym, nigdy na siebie czekać nie dawał, dziś spóźnił się.

Matka spoglądała niespokojnie ku drzwiom, ojciec siedział chmurny i zasępiony. Smutek rodziców oddziałał na dzieci, żadne nie śmiało się odezwać.

— Co się to ma znaczyć, że Janek nie przychodzi? — zawołał ojciec po chwili. — Cóż to, czy nie wie, że o tej godzinie śniadamy?

— Przyjdzie, tylko musiało go coś ważnego zaskoczyć — odezwała się matka.

Jeszcze nie domówiła tych słów, gdy w sieni dały się słyszeć czyjeś kroki, ktoś ujął za klamkę.

— Ot, widzisz, idzie — rzekła matka.

Drzwi roztwarły się, a w progu stanął nie wyczekiwany Jan, tylko obcy jakiś zupełnie młodzieniec.

Zawiedzeni rodzice spojrzeli na przybysza, jakby pytając z czem przychodzi.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odezwał się obcy, imieniem Bożem poczynając rozmowę.

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedział ojciec. — A co nam przynosicie?

— Pożegnanie od waszego syna. Janek wybrał się z szyprem do Gdańska. „Idź rzekł mi, do mojego rodzica, bo ja nie mam odwagi serca mu krwawić. Powiedz, że gdy mi już dawno pozwolił płynąć morzem, a właśnie zdarza się ku temu dobra okazya, toć jadę do Gdańska; może, gdybym sam poszedł, toby ojcowie bardzo się markocili; więc idź i powiedz, że im ściskam nogi, a o błogosławieństwo i modlitwy na drogę proszę“. Ot, godziny jeszcze niema, jak opuścił miasto i ruszył w drogę.

Głuche milczenie zapanowało zrazu, potem matka i dzieci zaczęły głośno płakać.

— Nie zobaczymy już więcej Janka! — zawołała siostrzyczka.

— Oj, co nie, to nie! — mówiła biedna matka, załamując ręce.

Jeden tylko ojciec milczał; powstawszy od stołu, przechadzał się po izbie, lecz zmarszczki, które jak ciemne chmury zbierały się na jego czole, zapowiadały grożącą burzę. Dzieci z obawą spoglądały, obcy gniótł czapkę w ręku i nie wiedział, co począć; zostać, czy iść?

Wreszcie najmłodsza dziewczynka zbliżyła się do ojca, i ująwszy go za rękę, spojrzała w oczy miłosiernie, mówiąc:

— Nie gniewajcie się tatusiu, na Janka. Matusia powiada, iż kiedy rodzice gniewają się na dzieci, to i Pan Bóg gniewa się także na nie i nie kocha ich; a przecież tatuś nie chce, żeby Pan Bóg przestał kochać Janka, a jakby P. Bóg nie kochał braciszka, to mogłoby go spotkać jakie nieszczęście, a on od nas tak daleko!

(Dokończenie nastąpi).

NUREK.

(Dokończenie).

I stał biedak, opuszczony od całego świata, na tysiąc metrów pod wodą, w nieprzeniknionej nocy i wobec strasznego niebezpieczeństwa. Truchlał na myśl, że może pozostać uwięzionym i rozmyślał, co czynić, jakby się ratować. Tymczasem ludzie, którzy pozostali nad wodą, zaniepokojeni tem, że nurek nie daje żadnego znaku życia, pociągnęli trzy razy linę, co miało znaczyć: „czy wszystko dobrze?“ Nurek odpowiedział w ten sam sposób: „wszystko dobrze“.

Do kłamstwa tego był zmuszony; inaczej majtkowie na okręcie, chcąc mu dopomódz, usiłowaliby go natychmiast wyciągnąć, a wówczas byłby zgubiony: lina i rura powietrzna pękłyby ze zbytniego natężenia, a on nie przedostałby się przez wązki otwór między drzwiami. W końcu nurek postanowił użyć swego młota i zaczął uderzać nim z całej siły we drzwi tak długo, dopóki mu nie udało się ich zgruchotać. Nareszcie drzwi wypadły i biedny więzień odetchnął pełną piersią.... Wysiłki jego trwały całą godzinę, w ciągu której co pięć minut otrzymywał, za pomocą umówionego znaku, pytanie: „czy wszystko dobrze“ i wciąż musiał dawać tę samą odpowiedź, chociaż był pod grozą śmierci.

Rozliczne niebezpieczeństwa, związane z tym zawodem, robią z nurków zazwyczaj ludzi poważnych: ale i między nimi jednak znajdują się tacy, którzy posiadają humor, nie opuszczający ich nawet tam — w głębinach i potrafią płatać nieraz figle. Za przykład posłużyć może następujące zdarzenie:

Dla przeszukania zatopionego okrętu spuściło się dwóch nurków; jeden z nich uległ niemiłemu wypadkowi: wskutek nieostróżnego poruszenia, powietrze z hełmu przedostało się do ubrania i nadęło je zlekka. Jest to bardzo niedobre, gdyż nurek staje się wówczas lekkim, że woda wciąż go podrywa i unosi, tak, że biedak z trudnością utrzymać się może na dnie. Drugi nurek, spostrzegłszy to postanowił wypłatać towarzyszowi figla. W tym celu

pociągnął dwa razy za jego linę — tak, że tamten tego nie wiedział, co miało znaczyć: „więcej powietrza“. Ludzie nad wodą pośpieszyli natychmiast zadość uczynić żądaniu; wówczas stało się coś fatalnego: nurek nabrzmiał jak balon i porwany przez prąd, z gwałtowną szybkością wyrzucony został na powierzchnię. Tam, okrąglutkiego, jak kulę, wyciągnęli majtkowie na okręt, aby uwolnić go od nadmiaru powietrza. Jakże się zdziwił i rozgniewał, gdy mu powiedziano, że sam żądał więcej powietrza!

Głównem zadaniem nurków jest wydobywanie zatopionych okrętów; spuściwszy się na dno, zatykają oni najpierw szczelnie wszystkie otwory w okręcie, poczem łączą okręt z pompkami, które wyciągają wodę. Przez to okręt staje się lżejszym i wypływa powoli na powierzchnię morza. Tym sposobem poczciwi nurkowie uratowali już wiele, wiele okrętów.

Całemi godzinami słuchać można opowiadań nurków o roślinach i zwierzętach, które na dnie morskiem widzieli i oglądać ich bogate łupy, wyłowione przy pomocy siatki. Mówią oni, że sześćset metrów głębokości — jest jakby granicą pomiędzy zwierzętami i roślinami, żyjącemi na powierzchni morza, a tak zwanemi tworami głębinowemi, bardzo nieraz dziwacznemi, które znajdują się w głębokości dochodzącej aż do 4,000 metrów.

Ciekawe są też opowiadania nurków, poławiających gąbki, chociaż pozostają oni pod wodą krócej, przytem nie pracują nigdy w wielkich głębokościach.

Niedawno nurkowie odnaleźli przypadkowo na dnie morskiem posągi z marmuru i bronzu; przy ich pomocy wyciągnięto z wody znaczną ilość tych rzeźb, jak się okazało, w niezłym jeszcze stanie. Uczeni przypuszczają, że posągi te pochodzą z bardzo dawnych czasów, i że zatonęły, gdy je przewożono na okręcie.



BÓG.

Chodź, pójdziemy w pole rozmawiać o dziełach Bozkich.

Weź garść piasku, policz ziarnka, spuszczaj je po jednemu na kolana.

Sprobój zliczyć trawy tej łąki, albo liście tego drzewa: nie możesz ich zrachować — są niezliczone.

Trudniejsze jeszcze do zliczenia inne dzieła Boże.

Czarna jodła rośnie na wysokich górach, a jasna wierzba zwiesza gałęzie nad wodą.

Chmiel zarzuca długie swe gałązki wkoło wysokiej tyki, dąb zapuszcza w głębi ziemi twarde swe korzenie, walczy z burzą.

Każdy listek ma kształt inny, na każdej roślinie inny owad mieszka.

Patrz na to ciernie nbielone kwiatami, patrz na te zioła, które depcesz, nie uprawia ich człowiek, ani ręka jego te ziarnka posiała.

Jedne rosną na urwiskach, do których stopa ludzka dojść nie może, drugie wśród trzęsawisk, inne jeszcze w głębi lasów lub na bezludnych wyspach.

Jakim sposobem z czarnego łona ziemi róża swój szkarłat, lilia białość wyciąga? Jakim sposobem małe ziarnko duży krzak w sobie zamknąć może? Zkąd zna każda roślina porę sobie właściwą? Wszystkie rozłożone są porządkiem, każda wie swoją godzinę i wstaje z kolei. Stokrotki i fiołki najbardziej się spieszą; skoro wiosna nadejdzie, wychodzą z ziemi jakby mówiły: jesteśmy! Gwoździk wygląda większego ciepła, astry jesieni czekają. Któżto w roślinach przechowuje życie podczas zimy, kiedy śnieg pola okrywa, a od mrozu ziemia skostnieje? Drzewa wtedy są ogołocone, smutne i suche jak kości na cmentarzu. Kto w nie nowe tchnie życie? czyje tchnienie konary liściem i kwiatem odziewa?

O! dziecię moje, wszystko to jest dziełem Boga — Stwórcy naszego, przedwiecznego.

Ale czyż potrzeba tobie mówić o Bogu, kiedy wszystko o nim przemawia?

Każda łąka jest jakby księgą otwartą; na każdym kwiatku wyryta o nim nauka.

Każdy strumyk, każdy wiatru powiew ma swoją mowę. Wszystko mówi o Bogu, który wszystko stworzył; wszystko dobroć Jego głosi.

Nie możemy widzieć Boga, bo jest niewidzialny, ale możemy przypatrzeć się Jemu w dziełach Jego i w nich Go uwielbiać.

SKARBONKA FELUNI.

Felunia ma skarbonkę, składa w nią potrosze
Rozmaite pieniążki, złotówki i grosze,
Składa, gdy co dostanie od mamy lub tatki
Na swe własne potrzeby, na własne wydatki.
Czasem dziadzio coś wrzuci, babunia dołoży,
Kasa czasem się zmniejszy, to znów się pomnoży.
Są niekiedy i pustki w skarbonce dzieweczki,
Wyszły wszyściutkie grosze, wszystkie złotóweczki.
A na co też Felunia wydać tyle może?
Na zabawki?... przysmaczki?... o! gdzież tam mój Boże!
Ona dla siebie nigdy i grosza nie bierze,
Lecz nad losem biedaków litując się szczerze,
Im oddaje to wszystko, ją tak serce boli,
Gdy widzi kogo w nędzy, w smutku i niedoli,
Że każdemu chce pomódz, każdemu dać rada,
I w tym celu pieniążki do skarbonki składa:
Niejeden nieszczęśliwy do niej się ucieka:
To nędzarz schorowany, to biedny kaleka,
To sierotka — nieboga szuka wsparcia u niej,
Bo wszyscy znają serce poczciwej Feluni.
A ile też do nieba modłów za nią płynie!
O! Stwórca wszystkie słyszy, daje też dziecinie
Dobre zdrowie i szczęście, łaskę swoją zsyła
Dzieweczka wzrasta w cnotach, wszystkim droga, miła.